

KOCIEWIE

Dodatek regionalny „Gońca Pomorskiego“ poświęcony sprawom ziemi kociewskiej

ADRES REDAKCJI: Edmund Raduński, Tczew, ul. Kościuszki 9

SPIS RZECZY: Stanisław Berent: Stary Franek. Edmund Raduński: Jak w r. 1807 wojska polskie zdobyły miasto Tczew. Mgr. Kazimierz Pietkiewicz: Muzeum Ziemi Pomorskiej. Mgr. Andżej Bukowski: Powieść z Kociewia.

STANISŁAW BERENT

STARY FRANEK

FRANCISZEK NIERZWICKI. — RYS ŻYCIA

Dziś już schodzi do grobu pokolenie, które znało niezwykłego człowieka, gburą od sochy i rydła, co mile i mile chadzał pieszo o sękatym kiju — na swym koniu — jak mawiał, w czamarze, długich butach i kapeluszu o szerokim rondzie. W pamięci mu współczesnych, których wyprzedził w drodze do wieczności, Stary Franek był postacią osobliwą wyrosłą na gruncie kociewskim, na którego patrząc zdawało się, że to prorok, wywierająca wielki wpływ na współczesne mu pokolenie, autorytetem, uznawanym przez wszystkich na terenie nie tylko kociewskim i południowych Kaszub, ale znany na całym Pomorzu i Wielkopolsce.

Kto był tym człowiekiem, który nauczywszy się czytać i pisać w szkółce wiejskiej, przerósł wszystkich wiedzą i rozumem, który 80-letnim starcem przemawiał na wiecach publicznych, który literatem był, nie przestawszy nigdy być gburą na 68 morgach ziemi, a dobrocią serca i wyrozumiałością wszystkich sobie ujmował. Pamiętają go tylko starsi, z uznaniem i wdzięcznością wspominając go i potwierdzając jego wielkie zasługi wobec polskość na Pomorzu. Nie wszyscy znali jego nazwisko.

Młodość

Urodził się Franciszek dnia 13 października 1821 roku z ojca Mateusza Nierzwickiego i Katarzyny z Bieleckich w Wieckowach, w wiosce, położonej w powiecie kościerskim nad szosą ze Skarszew do Pogódek. Wioska Wieckowy należała ongiś do opactwa cystersów w Pelplinie i z dawien dawna zamieszkiwali ją wolni gburzy, płacący czynsz do skarbcu opactwa.

Nierzwiccy są rodziną gburką, osiadłą z dawien

dawna na Kociewiu. W roku 1765 niejaki Jakób Nierzwicki był wikariuszem w Starej Kiszewie.



Stary Franek, jakim go znali żyjący jeszcze dziś ludzie.

Już w młodym wieku zdradzał Franciszek niezwykle zdolności i niezwykle cechy charakteru. Pobierał tylko elementarne nauki w jednoklasowej szkółce miejscowej, zaś reszta tych wiadomości i umiejętności, jakimi rozporządzał, była jego własnym dorobkiem. Szkoła, do której chodził, mogła być czynną tylko zimową porą, gdyż w porze letniej dzieci zajęte były w polu czy to przy pracy czy też przy pasaniu bydła. Zimową zaś porą często mróz dokuczał, wskutek czego nieraz przenoszono ławki do prywatnego mieszkania nauczyciela, gdzie odbywała się nauka. W tej już szkole wyróżniał się Franciszek Nierzwicki wśród swoich rówieśników. Nim też zastawiał się nauczyciel w czasie wizytacji. I to nie tylko w czasie gdy chodził do szkoły, ale i po zwolnieniu wołał go często w czasie wizytacji, aby swoimi wiadomościami podnosił poziom szkoły. Wtedy to wywoływał Franciszek swoimi wiadomościami podziw wizytatorów, a nauczyciel odbierał za to pochwały i nagrody.

Czytać po polsku uczył się Franciszek jak wszyscy Polacy owych czasów na książeczce do nabożeństwa. Wiemy to z jego własnych opowiadań. W szkole uczono tylko po niemiecku do godziny 12-tej. Po 12-tej zaś odzywał się nauczyciel: Teraz niech weźmie każdy swoją książkę i uczy się po polsku. Na to powyciągali chłopcy książki do nabożeństwa i uczyli się równocześnie czytania i modlitwy.

Wojskowo nie służył. Zachowany jeszcze „atest stawienia się“ opiewa, że F. N. jest „zbyt słaby“.

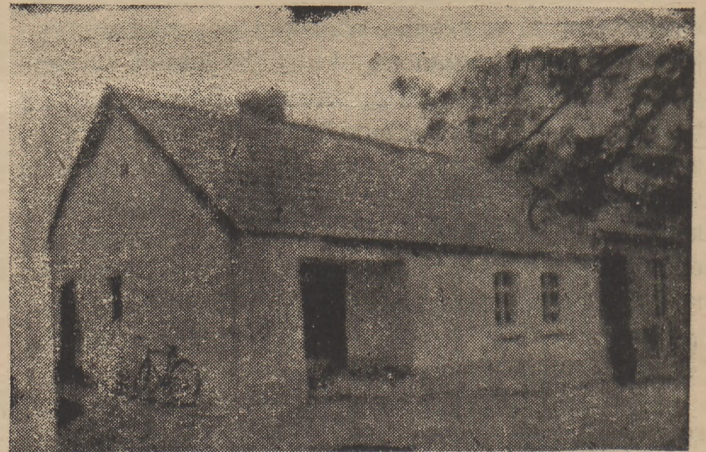
Praca na roli

W roku 1847 Nierzwicki żeni się i zaczyna gospodarzyć samodzielnie na roli. M. W., który wyrósł pod okiem Starego Franka, u niego bywał i działalności jego się przyglądał, w artykule zatytułowanym: rys życia dobrego Polaka i zasłużonego obywatela, ogłoszonym w Mestwinie, dodatku naukowo literackim Słowa Pomorskiego nr. 8 z roku 1932, tak pisze o tych latach:

Pomimo wykształcenia tylko najelementarniejszego zaliczano jednak Fr. Nierzwickiego do ludzi bardzo światłych, z jego zdaniem się liczono, jego rady w bardzo wielu wypadkach słuchano. Wszystko, czego się nauczył, a nauczył się bardzo wiele, zawdzięczał sobie samemu. Był naprawdę samoukiem w najściślejszym tego słowa znaczeniu, a był nim tak pod względem naukowym, jak i gospodarczym. Za żoną swą Marianną z Gdańców wziął w 1847 r. 68 morgów żółtych piasków, na których tylko krzewy jałowcu rosły. Dom mieszkalny oraz budynki gospodarcze wystawił sobie sam nie tylko własnym kosztem, ale i własnymi rękoma. Jak Ślimak z „Placówki“, tak i N. przywarł mocno do tej

nieurodzajnej gleby. Już przed wschodem słońca stawał na zagonie i darł się ze swoją żywicielką. Karczował jałowiec, oraz piaski i uprawiał pod zasiew, a wracał do domu późnym wieczorem, nieraz o północy. Pomnażał dobytek, by mieć więcej nawozu, który też zwoził na swe pole od swego brata Piotra. Gdy się tylko uporał z uprawą roli, zabierał się niezwłocznie do innych prac zarobkowych. Wozził kamienie na szosę, a faszyny do 4 mile oddalonego Tczewa na groblę wiślaną. Zarabiał przytem na dobę — jednej nocy wyjeżdżał a drugiej wracał — 3 i pół złotego. Pomimo tak niskich zarobków, pomimo gleby nieurodzajnej zaczął się N. wnet dorabiać. Ziemia choć chuda, ale w porę i należycie uprawiana, poczęła wnet wydawać dobre plony. Gospodarstwo co rok się polepszało, a dobrobyt się wzmagał widocznie.

Chociaż zawsze miał dużo zajęcia — uprawiał on prace mularskie, ciesielskie, stolarskie, kowalskie, ślusarskie, dekarские i in. — znalazł N. zawsze jeszcze kilka chwil na czytanie i dalsze kształcenie się, do czego miał szczególniejsze zamiłowanie od wczesnej młodości aż do deski grobowej. Od wczesnych lat już szukał on i znajdował przyjaźń i serdeczne przyjęcie w plebaniach; tam były nieprzebrane skarby duchowe, stąd przynosił książki, które na głos czytywał, samego siebie kształcąc oraz wykładając ich treść i znaczenie innym, mniej duchowo rozwiniętym. Jego pokora, słodycz i łagodne obejście ściagały w każdą niedzielę i w każde święto tylu ciekawych, ile tylko ściany domu pomieścić mogły. A on im czytał swoim miłym dźwięcznym głosem i tłumaczył, czego nie zrozumieli a puszczał ich do domu mocno pokrzepionych na duchu!



Dom, który pobudował sobie Franciszek Nierzwicki, stoi szczytem do ulicy wiejskiej. Posiada małe podcienie, z którego wchodzi się do kuchni a z niej do większej izby. Drugim wejściem ze szczytu wchodzi się do komory przerobionej na kuchnię, a dalej do mniejszej izby mieszkalnej. To mniejsze mieszkanie zajmował Stary Franek, gdy był na starkowiznie (deputacie).

W kościele i wokół kościoła

Za przyjaźń okazywaną w plebaniach w Więckowach i Skarszewach, Nierzwicki odwdzięczał się sumiennie. Najwięcej przysłużył się parafii skarszewskiej za czasów dziekana Rohdego. Jemu pomagał w wolnych od gospodarstwa chwilach przy budowie plebanii skarszewskiej i ogrodzenia tamtejszego cmentarza i kościoła. Jego ręką ciosane są kamienne słupy przy furtkach i kamienne schody w plebanii. Uzupełniał braki, jakie znajdował w ozdobach kościoła. Godła męczeństwa dorobił: św. Tadeuszowi topór, św. Wojciechowi wiosło, św. Bonifacemu berło.

Nie zapomniał przecież i o swoim parafialnym kościele w Pogódkach. Pomimo, że od Więcków do Pogódek przeszło mila przykraj drogi — szosa tam dopiero od 1903 roku — Nierzwicki bywał w Pogódkach bardzo często i zawsze pieszo do ostatnich dni swego życia. Na życzenie ks. Typelta zajął się i tutaj ogrodzeniem kościoła i cmentarza z kamienia, które do dziś w dobrym znajduje się stanie.

Z księdzem proboszczem Tipeltem pracował nad podniesieniem stanu umysłowego i moralnego swoich współziomków. Za jego inicjatywą i staraniem powstało i pod jego okiem rozwijało się w Pogódkach bractwo trzeźwości. Był przez dziesiątki lat przeorem Bractwa św. Aniołów Stróżów, założonego za czasów króla Zygmunta III. Należał do żywego Różańca i zakładał w okolicznych wioskach „Różę“. Co wtorek odbywał Droge Krzyżową w kościele pogódzkim lub skarszewskim, wyjątkowo tylko w domu. W późniejszych latach życia swego codziennie o 5-tej rano odprawiał Godzinki o Niepokalanym Poczęciu N. M. P.

Praca w kółkach rolniczych

Gdy w latach 1860-tych zaczęto zakładać pierwsze Kółka rolnicze na terenie powiatów kościerskiego i starogardzkiego, Nierzwicki spieszył wszędzie, gdzie go tylko proszono, mimo kiepskiej komunikacji ówczesnej. Z księdzem proboszczem Tokarskim założył Kółko Rolnicze w Pogódkach, z którego z czasem wyłoniło się Towarzystwo Ludowe. Jako prezes tegoż pracował lat kilka aż do śmierci gorliwie i skutecznie. Był również członkiem Towarzystwa Ludowego w Skarszewach. Jeździł wzgl. chodził na zebrania towarzystw okolicznych do Starej Kiszewy, dalekiej Kościerzyny i bliższego Starogardu. Wszędzie zabierał głos, zachęcał do pracy i pouczał, budził i krzepił ducha narodowego.

Wyżej wymieniony M. W. w swoim artykule podaje następujący przykład sumiennosci i pracowitości Nierzwickiego z owych lat. Wezwano go na 20 marca 1866 do Kościerzyny na zebranie Kółka Rolniczego. N. wstawszy rychło rano, jeszcze przed

wschodem słońca zasiał groch, a o 6-tej godzinie wybrał się pieszo do Kościerzyny, odległej o 28 klm. od Więcków, gdzie wygłosił, jak podaje „Nadwiślanin“ w numerze z dnia 1 kwietnia 1866 r. obszerny i gruntownie opracowany referat o uprawie koniżyny, która wówczas jako nowość wchodziła w życie.

Praca nad sobą

W kółkach rolniczych zajmowano się poza dokształceniem zawodowym oświatą ogólną, zachęcano do abonowania gazet i zakładano biblioteki ludowe. Nierzwicki już w roku 1849, mając lat 29, czytał Wielkopolanina zaś od r. 1855 abonował Nadwiślanina, wychodzącego w Chełmnie, od r. 1860 pozatym Przyjaciela Ludu a od 1861 roku: Wszechbrat Bracki, pismo abstynenckie, wychodzące w Toruniu. Trzy gazety jak na małorolnego gburę w połowie 19-go wieku to dużo. Pilnie czytając, rozszerzał swój widnokrąg, kształcił się a obdarzony wielkim talentem, rychło wyrobił sobie sąd własny w sprawach ogół obchodzących a dar wymowy, dany mu przez Boga, umożliwiawał mu nabytymi wiadomościami dzielić się z współziomkami.

Mówca

Niepospolite dary umysłu zjednały mu dużo przyjaźni, do których zaliczali się również Hiacynt Jackowski, dziedzic na Jabłowie pod Starogardem i Michał Kalkstein, dziedzic na Klonówce. Zwłaszcza wielki pracownik na niwie społecznej, jakim był H. Jackowski, rychło się poznał na zdolnościach Nierzwickiego i korzystał z nich na zebraniach i wieczorach. W r. 1869 zabrał Nierzwickiego do Chełmna na wielki wiec w sprawie nauczycielskiej. N. nie był mówcą programowym a poprosił tylko o głos podczas dyskusji. Idącemu ku trybunie niepozornemu kwiotkowi towarzyszą uwagi obecnych na sali: „A co ten tam chce, darmo się ośmieszy“. Ale spotkał ich wielki zawód. Przemówienie jego zrobiło na wszystkich zebranych wielkie wrażenie, tak przychylnie usposobiło dlań wszystkich obecnych, że nie tylko hucznymi oklaskami tego prostego kmiotka nagrodzono, ale na barkach go z trybuny zniesiono.

Na tym wiecu poruszył też Nierzwicki potrzebę założenia gazety, któraby była tania i pisywałaby językiem prostym ludowym, zrozumiałym dla szerokich mas. Życzenie to zostało spełnione; jeszcze tego samego roku poczał w Chełmnie wychodzić „Przyjaciela Ludu“, który N. zwykł był nazywać swoim dzieckiem, którego łamy też często napelniał swymi korespondencjami.

„Nie było w Więckowach“ — pisze M. W. — „ani w sąsiednich wioskach żadnego ważniejszego zdarzenia, w którymby Nierzwicki udziału nie brał. Czy to chrzest, zaręczyny, wesele czy pogrzeb, pry-

micje, introdukcja proboszcza lub też jubileusz jakiej znacznej osoby, założenie jakiego kółka czy posiedzenie Towarzystwa, wszędzie go proszono, a za ujmę by sobie to poczytano, żeby on z jakiego zaproszenia nie skorzystał. Ale on wszędzie ochotnym sercem podążał i wszędzie wygłaszał swe mowy okolicznościowe czy też referaty zawodowe. Mówił treściwie, językiem ludowym ale poprawnym i porrywał tę drobną brać od pługa czy kielni lub młota“ „Posiadał — pisze ks. Alf. Mańkowski — wszystkie warunki, potrzebne mówcom. Mówił płynnie, naturalnie, z temperamentem, dobierając odpowiedniego tonu, nie było tam nic sztucznego. Przemawiało przez niego głębokie przekonanie, rozum i doświadczenie. W ten sposób przemawiał jeszcze jako 80-letni starzec w Sokole grudziądzkim“. A gdy jego występy nabrały już rozgłosu, przybywali do niego i nasi posłowie, prosząc go na zebrania i wiece do Kościerzyny, Starogardu, Pelplina, Chełmna, Poznania itd. Korzystał z ofiarowanej grzeczności, ale obyczajów ani strojów nie zmienił. Pozostał chłopem polskim, jakim był, a żadne owacje nie mogły wyprowadzić go z równowagi¹⁾.

Pisarz ludowy

Rychło Nierzwicki zaczął garnąć się do pióra. Mając lat 36 wysłał pierwszą swoją korespondencję do Nadwiślanina, po której poszły inne. Z biegiem lat dużo artykułów jego ukazało się pozatym w Przyjacielu Ludu, Gońcu Wielkopolskim, Rolniku, Pielgrzymie, Gazecie Toruńskiej, Gazecie Gdańskiej i w wielu innych gazetach. Zabierał nie tylko głos, aby omawiać sprawy publiczne pomorskie, lub zdać sprawę z zebrań, ale także barwnie i interesująco opisywał swe wrażenia z podróży. Pisanie sprawiało mu z początku pewne trudności. Ręka spracowana pracą na polu musiała się oswoić z gęsim piórem,

¹⁾ Posłom wówczas nie płacono diet, więc mógł posłem zostać tylko zamożny szlachcic.

jakim się posługiwał nawet w latach późnej starości.

Ks. Alf. Mańkowski w artykule zatytułowanym: „Stary Franek, gbur i bibliofil pomorski“ ogłoszonym n-rze ½ miesięcznika *Silva Rerum* z roku 1938 podaje początek jego artykułu napisanego w roku 1870 do Rolnika pelplińskiego, który tu powtórzę:

Więckowy, 11 maja 1870.

Kochany Rolniku!

Dziś już konieczne zabrałem się do pióra, by ci napisać o czynnościach naszego Kółka Rolniczego w Pogutkach. Naprzód wszelako muszę ci powiedzieć, że już dawno zobowiązałem się donieść Ci o czemżeśmy w marcu radzili (bo gdy w Kiszewie, na Walnym Zebraniu czytałem sprawozdanie z marca, to przewodniczący polecił mi streścić to w krótkości i posłać do Rolnika.

Nie myśl Kochany Rolniku, że to z lenistwa, albo jakiejś niechęci tak odwłóczyłem, o nie! Najglówniejszą przyczyną było, że pisanie idzie mi bardzo niesporo, a sam nie wiem dlaczego? Bo kiedy spojrzę na moją rękę, która jest bardzo sucha i niby subtelna, to mi się zdaje, że powinna być do pisania bardzo lekka, a tymczasem tak nie jest. Skoro bowiem zacznę pisać, to kiedy trzeba jakie litery do góry zakrecać, tak mi się zaraz coś zawrze, że aż pióro na drugą stronę papieru przejdzie, jakgdyby chciało od razu obiedwie strony zapisać i tak się pióro w papierze zagrzezi, jak kiedy to pług pod jakiego korzeń podwodzi, że go trudno wycofnąć. Więc żeby Rolnik pomógł mi to wyjaśnić z jakiej to pochodzi przyczyny, czyli to ręka za ciężka, czy też za ostre pióro, albo papier za słaby — możeby Rolnik mógł mi podać sposób na to lichy, które mnie zatrzymuje w pisaniu. Za tę radę odwdzięczyłbym się i częściej co napisał, bo tak mi każde pisanie wiele czasu zabiera, którego nie mam, gdyż teraz wiele pracy w polu.

(Dokończenie nastąpi.)

E. RĄDUŃSKI

Jak w r. 1807 wojska polskie zdobyły m. Tczew

(Dokończenie).

Dochodziła godzina 4-ta, w mieście powstał popłoch. Gdy jedni wierni rozkazom dowódcy, bronili dostępu do wnętrza miasta, inni próbowali wydostać się z matni, myśląc o ucieczce. Były jej dwie możliwości — ująć przez Bramę Młyńską niepostrzeżenie na Żuławy lub przeskoczywszy mur, przejść przez Wisłę. Pierwsza ewentualność była mniej niebezpieczna, ale i mniej pewna, ponieważ przed Bramą Młyńską stała kawaleria polska i piechota badeńska, którą, umykając wawozem nad brzeg Wisły,

trzeba było obejść, lub przez nią przerąbać się siłą.

Kawalerzyści, którzy podczas walk stali na rynku, — a było ich ok. 20-tu — próbowali pierwszy szczęścia i połowa szczęśliwie uszła, ponieważ wojska oblegające stały w pewnym oddaleniu od bramy. Za huzarami poszło kilkudziesięciu piechurów, lecz ledwo połowa doszła do rzeki. Pozostała wówczas tylko druga ewentualność. Około 300 piechurów, przeskoczywszy mury wiejskie, rzuciła się ku Wisłę z zamiarem przedostania się drogą okrężną przez Lisewo do Gdańska. Ale artyleria na rozkaz

Gen. Dąbrowskiego dała kilka strażów na rzekę, wskutek czego słaba zresztą pokrywa lodowa załamała się i dużo się potopiło,

Żołnierz Daleki, uczestnik wyprawy na Tczew, mówi w swoich pamiętnikach: „Jeszcze wieczór nie nadszedł, a już Prusacy co żywo uciekali ku Gdańskowi, a na Wiśle pod Tczewem widać było pływające kapelusze i warkoczki, bośmy też wtenczas niemało położyli trupem i niemało nagnali do rzeki.“

To wszystko trwało kilkanaście minut. Tymczasem wkraczające oddziały polskie bagnetem zdobywały miasto, wypierając resztę załogi ku rynkowi. Na ulicach pełno było trupów i rannych. Zdobywano dom za domem. Dowódca załogi pruskiej major Both z resztą żołnierzy cofnął się na cmentarz a następnie otoczony zewsząd, zamknął się w kościele św. Krzyża, gdzie poddał się, straciwszy nadzieję dalszej obrony. Wzięto do niewoli prawie wszystkich oficerów i około 200 szeregowych. Około 150 szeregowych poległo podczas walk oraz podczas przeprawy przez Wisłę.

Straty polskie również znaczne. Wedle obliczeń gen. Dąbrowskiego padli 1 oficer i 30 szeregowych, a rannych było około setki, wśród których dużo oficerów. Już w czasie pierwszego ataku postrzał w nogę otrzymał gen. Dąbrowski, pod którym 3 konie ubito. O ranie tej dowiedziano się dopiero po ukończeniu walk. Ranny generał zmuszony był oddać komendę generałowi Kosińskiemu i udać się do Gniewu, gdzie kilka tygodni przeleżał w łóżku. Cięższą ranę otrzymał syn jego pułkownik, dowódca kawalerii polskiej, któremu kula armatnia roztrzaskała ramię. Zostawszy dożywotnim kaleką, jednoręki pułkownik musiał zrezygnować z dalszej służby wojskowej. Rany cięższe lub lżejsze odniosło pozatym kilkumastu oficerów.

Straty miejskie

Duże straty poniosło miasto. Już podczas walk o przedmieścia spłonęły niemal wszystkie stodoły i budynki gospodarcze. Senger mówi o 80 stodołach. Około 400 sztuk bydła i 300 koni zginęło lub zabrano. W czasie walk o miasto luźno szkód wyrządziły kule armatnie. Najwięcej jednak ucierpiało miasto od rabunku, jakiego dopuścili się żołnierze po zdobyciu miasta. Zniszczono aptekę, sklepy kolonialne i bławatne a w mieszkań prywatnych zabierano odzież, obuwie i bieliznę. Żołnierz mścił się na obywatelu miejskim, za pomoc udzieloną załodze pruskiej, za strzelanie z okien i dachów, co posądzał obywateli oraz za sprowadzenie oddziału pruskiego na zakwaterowany swego czasu w mieście oddział Dziewanowskiego. W tej zawierusze zginęło również kilku obywateli.

Kupiec Senger w swoich wspomnieniach z lat dziecinnych pisze między innymi: W kilku punk-

tach pociski artylerii polskiej wznieciły pożar, który jednak udało się ugasić. Spalił się natomiast dwór bractwa kurkowego, stojący przed Bramą Wysoką. Kilku obywateli poniosło śmierć w czasie zawieruchy. Zginął sąsiad Claasen, właściciel domu i kupiec przy rynku. Zmarł młody lekarz Goertz, udzielający pomocy lekarskiej właścicielce gospody, ugodzony kulą, gdy ciekawością wiedziony podszedł pod okno. W tejże gospodzie zapijał wino rolnik Stoermer. Dowiedziawszy się o wkroczeniu Polaków do miasta, chce biec do domu, ale ugodzony bagnetem, pada martwy. Żywy inwentarz przeważnie zginął podczas pożaru, gdyż nie było nikogo, kto by go ratował. Nasza rodzina — powiada Senger — straciła poza 8 krowami, które cudem ocalały, wszystko. W garbarni wszystkie komory zostały opróżnione, kawałek skóry nie zostało. Matka moja za mleko i gotowaną kaszę odkupowała własną bieliznę. Apteki nie mogły dostarczać lekarstw dla rannych, ponieważ wszystko tam wywrócono do góry nogami.

Życie zamarło w mieście. Mieszkańcy żyli w stałej obawie o swoje mienie. Dopiero gdy sytuację opanowano i wojsko wyprowadzono z miasta, ludność odetchnęła i zaczęła liczyć swoje straty. W trzy dni później gen. Kosiński pisze w raporcie do gen. Dąbrowskiego, przebywającego w Gniewie:

Miasto zaczyna się przecież cokolwiek zaludniać. Już przecież chleb pieką i jakiegokolwiek znaki życia zaczynają się pokazywać. Kazałem rozdać dla biedniejszych z magazynu 4 beczki soli. Pewny jestem, że Generał potwierdzisz wszystko, co tylko cierpiącą ludność wesprzeć może. Niestety lud nasz zbałamucony rabunkiem, jeszcze do zupełnego porządku powrócić nie może i za większe jeszcze uważam nieszczęście, że dla przykładu trzeba ofiarować. Dziś zgromadziłem sąd wojenny i nie omieszkałam uwiadomić Generała, co on względem kilku występnych postanowi.

Obywatele jeszcze przez dłuższy czas doświadczali skutków wojny. Rolnicy nie mogli dokupić koni i ziemia tego roku leżała odłogiem. Zakupiono 200 krów za drogie pieniądze. Ale już w następnym roku wybuchła zaraza i z całej trzody pozostało 12 krów. Sengerowi padły ostatnie krowy, które poprzednio uratował.

Walka o Tczew była pierwszym większym starciem wojska polskiego w kampanii 1807 roku. Żołnierz polski biedny i słabo wyekwipowany, bo na więcej nie stać było zubożale społeczeństwo polskie, wykazał dużą wartość. Mundur polski, nieznan na tym krańcu Polski od kilku pokoleń, zdolny był rozbudzić w społeczeństwie kociewskim świadomość narodową, tam gdzie jej nie było, i wzniecić w nim poczucie własnej siły, gdyby okres bezpruski, jaki nastąpił po tych wypadkach, był dłuższy i gdyby Napoleon nie był zawiódł pokładanych w nim na-

dziei, że włączy departament kwidzyński i gdański do Księstwa Warszawskiego.

Wypadki tczewskie w literaturze

W Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego (tom XII) Ks. Prof. Romuald Frydrychowicz opisuje na podstawie współczesnego pamiętnika zdobycie miasta Tczewa w sposób następujący:

Już przeszło 7 godzin trwała walka. W tym stało się, a było to około godziny trzeciej po południu, coś osobliwszego, o czym równoczesny pamiętnik tak wspomina. Jakiś kupiec ukarał syna swego pastenza i wydalil go z domu. Chłopiec, błądząc nad brzegiem Wisły, napotkał pikietę polską i rzekł do niej: „Wy tam strzelacie od frontu a tu od strony Wisły jest miasto zupełnie ogołocone.“ Zdziwiona tą wiadomością straż, odstawia chłopca najbliższemu czatom, które go odesłały do gen. Dąbrowskiego, który z pagórka pod Stembarkiem obserwował ruchy nieprzyjacielskie. Na gorące życzenie chłopca kazał mu Dąbrowski dać mundur i przyjął go do swojej posługi. Sprawdziwszy doniesienie chłopca, rozkazał Dąbrowski podwoić ogień, a sam z częścią rycerzy ruszył wskazaną drogą na miasto. Tu trzeba dodać, że fosa była zapełniona śmieciami, co ułatwiało wspinanie się na mur. Tak wpadli szturmujący z tyłu na osłupiałych Prusaków, którzy się chcieli ratować ucieczką przez Wisłę. Ale ponieważ lód był za słaby, wielu tam utonęło. Dwudziestu huzarów przedarło się przez płonące stodoły i schroniło się na niziny. Dowódca załogi, major Bothe, dostał się do niewoli. Jeden z mieszczan strzelił dwa razy do generała Dąbrowskiego i zranił go w nogę, a syn jego, pełniący służbę adiutanta, dostał postrzał w rękę.

Pamiętnik, o którym wspomina ks. prof. Frydrychowicz, dzisiaj nie jest znany. Być może, że opis swój oparł na tradycji ustnej, przekazanej mu przez starszych ludzi tutejszej okolicy. Opis ten w tej formie ze Słownika Geograficznego przejął Stefan Żeromski, pisząc swe *Popioły*.

Stosunek ludności polskiej do wojska Dąbrowskiego

Uczestnicy wyprawy na Tczew poświęcili w swoich pamiętnikach również kilka acz skromnych słów stosunkowi ludności polskiej do wojska polskiego. Czytamy więc, że w Subkowach chłopci, wszyscy Polacy, nanosili żołnierzom jedzenia aż nadto hojnie, a w Ciepłym mieszkańcy, wszyscy Polacy, przyjmowali ich bardzo ochoczo. O wsi Stembarku zapisano tylko, że to mała wioska z 6-ciu biednych chałup złożona.

Wypadki tczewskie w sztuce

Zdobycie miasta Tczewa przez wojska Dąbrowskiego uwiecznił na płótnie sławny malarz-batalista Kossak. Niestety nie udało się piszącemu stwierdzić,

gdzie obraz ten obecnie się znajduje. Inny epizod walki a mianowicie przejście oddziałów pruskich przez zamarzną Wisłę uwiecznił na płótnie malarz francuski Simeon. Obraz ten znajduje się w Galerii Historycznej w Wersalu a mała reprodukcja w zbiorach miejskich.

Podania ludowe z okresu wojen napoleońskich

Podania ludowe, odnoszące się do pobytu wojsk gen. Dąbrowskiego w Tczewie i okolicy, nie są mi znane. Natomiast do pobytu wojsk francuskich wzgl. Napoleona w naszych okolicach odnoszą się podania następujące:

Powiadają sobie starzy ludzie na Czyżykowie, a mnie powiadał to stary Schlesier, że Francuzi cofając się w roku 1812 przez Tczew, zakopali na Czyżykowie na wzgórzu między ulicą Czyżykowską a ulicą Polną, gdzie dziś stoi mała chata a dawniej stały zabudowania gospodarcze rolnika Schlesiera, swoją kasę wojenną, której ze sobą zabrać nie zdołali czy nie mogli. Dawniejszy właściciel gruntu poszukiwał jednak tego skarbu bezskutecznie.

* * *

W Tczewie był Napoleon kilka razy, pierwszy raz dnia 23 kwietnia 1807 roku, aby wyznaczyć miejsca dla okopów, mających bronić mostu przez Wisłę. Jechał konno przez ulicę Krótką i zatrzymał się krótki czas na rynku, gdzie przez Polaków owacyjnie był witany. Wieczorem wrócił do Malborka, gdzie miał główną kwaterę. Drugi raz przybył do Tczewa w kilka dni później dnia 31 maja tego roku, aby się udać do Gdańska, który dnia 27 maja po niemal dwumiesięcznym oblężeniu zdobyty został przez Francuzów. Stąd wrócił dnia 2 czerwca znów przez tutejsze miasto do Malborka. Mieszkańcy, którzy mieli okazję widzieć go z bliska, powiadali, że cesarz nosił zawsze swój zwykły szary płaszcz bez wszelkich odznak, podczas kiedy uniformy generałów lśniły się od złotych szlifów i haftów. Trzeci raz był tu Napoleon w czerwcu 1812 roku, ciągnąc do Rosji. I tym razem jechał ulicą Krótką przez miasto. Dojechawszy do brzegu Wisły, zsiadł z konia, aby pieszo przejść przez most pontonowy. W tym jakaś staruszka przybliżyła się do niego, życząc mu szczęścia do tej wyprawy przeciw Moskwie Napoleon dał sobie jej słowa przetłumaczyć, poklepał staruszkę po ramieniu i podziękował jej grzecznie. W mieście zamieszkał cesarz w domu pastora przy ulicy Krótkiej.

* * *

Ks. prof. Frydrychowicz pisze w roku 1922 w swojej broszurce „Podania ludowe na Pomorzu“, że we wsi Pólko, oddalonej 2 kilometry od Janowa w posiadaniu jednego z tamtejszych gospodarzy znajduje się wóz roboczy o czterech kołach cały z drzewa dębowego wyrobiony, ale co jako rzadkość

zapisać należy, nawet jego obie osie nie są żelazne lecz dębowe. O tym wozie zachowało się w tamtejszej okolicy podanie, że nim w roku 1807 żołnierze francuscy jechali z Janowa do Sztumu. Wóz ten, stanowiący unikat na całym Pomorzu, jest jeszcze dobrze zachowany, tylko jedno koło jest uszkodzone i zdjęte, ale łatwo by je można naprawić.

Literatura:

Dla osób interesujących się bliżej ówczesnymi dziejami miasta podaję poniższą bibliografię, zaznaczając gwiazdkami pozycje, znajdujące się w Bibliotece Miejskiej w Tczewie.

1. * Źródła wojskowe do dziejów Pomorza w czasach księstwa Warszawskiego. Część I. Zajęcie Pomorza 1806/07 roku. Podał Janusz Staszewski. Tow. Nauk. w Toruniu, Fontes XXVI.
2. * Janusz Staszewski: Zdobycie Tczewa 1807. Roczniki Historyczne. Rocznik XII, 1936.
3. * Raduński Edmund: Zarys dziejów miasta Tczewa. Tczew 1927.
4. * Dr Fr. Schultz: Geschichte des Kreises Dirschau, 1905.
5. * Senger F. Dirschau 1807—1808. Bericht des Kaufman Senger. Archiwum Państw. w Poznaniu, Odpis w Bibliotece Miejskiej w Tczewie.
- * Chłapowski Dezydery: Pamiętniki. Poznań 1899.
7. Daleki J. ks. Wspomnienie mojego ojca z wojen napoleońskich zebrane według ustnego opowiadania. Nowe Miasto 1927 r.
8. Weysenhoff Jan: Pamiętnik. Warszawa 1909.
9. Białkowski A.: Pamiętniki starego żołnierza. Warszawa 1903 r.
10. Kozłowski: Historia 1 potem 9 pułku W. Księstwa Warsz. Poznań—Kraków 1887.
11. * Dr R. Frydrychowicz ks.: Podania ludowe na Pomorzu. Pelplin 1922.

Muzeum Ziemi Pomorskiej

(Artykuł dyskusyjny)

Z prawdziwą przyjemnością przeczytało się w kwietniowym dodatku „Kociewie“ rzeczowy artykuł ks. Al. Kowalkowskiego w sprawie muzeów. Całkowicie zgadzając się z Jego tezami chciałem dodać jeszcze parę uwag. Rozproszkowanie zbiorów pomorskich jest bezwątpienia niekorzystne jak dla samych muzeów tak i z powodu ich znaczenia naukowego. Faktem jest dawno stwierdzonym, że muzea takie w małych miastach i miasteczkach żyją jako tako dopóki je prowadzi organizator i osoba ofiarna, przestają natomiast istnieć, skoro tej osoby brak, staje się bowiem niemożliwością utrzymanie po zakątkach sił fachowych, brak lokalów i środków.

Mając ciągłą styczność z terenem całego Pomorza przez korespondentów coraz częściej dowiaduję się, o takich „rozgromionych“ muzeach, a faktem już jaskrawym jest dogorywanie Muzeum Gulgowskiego, skoro Jego samego nie stało. Słuszne też zdanie, że traci na tym nauka, naukowcy bowiem z Kraju nie zawsze wiedzą o istnieniu tych muzeów, nie zawsze mają możliwości dotarcia do nich, nie mówiąc już o gościach zagranicznych. Skupione natomiast w jednym muzeum, gdzie będą zawsze miały fachową opiekę i lokal, zbiory te podzielone

według systematyki zagadnień nie zaś regionów wykażą cechy wspólne i odrębne kultury ludowej, grup etnicznych Pomorza. Stanie się przez to zadość i ambicjom pomniejszych grup etnicznych i nauka z tego skorzysta.

Muzeum w mieście wojewódzkim ma jeszcze poza naukowym także znaczenie propagandowe, często bowiem uczonym i wycieczkowcom zagranicznym niema co pokazać ze zbiorów etnograficznych Pomorza, dlatego też musi leżeć w interesie ambicji działaczy regionalnych dostarczenie tych zbiorów ze swych terenów. Wszelkie zabytki przekazane do Muzeum ogólnego, które będzie posiadało własny gmach (w Toruniu takowy już się buduje) znajdą stałą i fachową opiekę. Udzieli też wszelkich fachowych objaśnień zwiedzającym osoba z naukowym odpowiednim wykształceniem a jaka z tego korzyść będzie dla danej grupy regionalnej, nauki i Państwa chyba jasne.

Żeby nie być gołosłowym dam przykład jak niedawno zgłosiło się do mnie 2 Włochów z Mediolanu, którym niestety z etnografii nie wiele mogłem pokazać, odsyłanie zaś ich do Chojnic, Wdzydz, czy Golubia było nie do pomyślenia. Nic nie mogli przeto zobaczyć, ani z kultury ludowej Kociewiaków, Krajniaków, Kaszubów, ani z Chełmniaków i to dzięki właśnie temu, że zbiory te istnieją ale w rozproszeniu i nieładzie po wszystkich zakątkach. Są przeto jakby tylko same dla siebie.

Musimy zdać jasno sprawę, że Muzeum nie tworzymy tylko na pewien okres, nie tylko dla nas ono potrzebne, ale musi się ono stać dobrem całego Narodu, musi o tym wiedzieć cały świat, że nasz lud pomorski, posiada swoją specyficzną a zarazem ogólnopolską kulturę ludową, przyszłe zaś pokolenia będą miały z dobrze zachowanych zbiorów obraz rozwoju jej w przestrzeni i w czasie.

Dlatego też przy zbieraniu eksponatów trzeba zebrać nie tylko rzeczy „dawne“, „niespotykane“ dziś ale też te, które są dziś, lub wczoraj istniały, gdyż jako ogniwa w łańcuchu rozwojowym kultury ludowej dadzą one obraz w jakim kierunku dąży nasza kultura ludowa, a co dziś nie jest ani oryginalne, ani wyjątkowe za parę lat właśnie będzie już tylko zabytkiem i szkoda będzie wielka, jeżeli tego nie zarejestrujemy.

Że kultura n. p. rolnicza całego Wielkiego Pomorza nie wyłączając Prus Wschodnich i Zachodnich jest wspólna, nie ulega żadnej wątpliwości, leżą bowiem te ziemie w tych samych zasięgach kulturowych i zamieszkałe są przez grupy etniczne polskie.

Nie będę tu omawiał szczegółów dotyczących samego zbierania eksponatów i kryteria naukowe, jakie się w takich wypadkach stosuje, stwierdzę tylko, że istnieje masa okazów, o których mam nawet

dokładniejsze dane i wiele naprawdę rzeczy ważnych, interesujących dałoby się wydobyć na światło dzienne, pozyskać w ten sposób pozycję, której dzisiaj nie mamy.

Kończąc te parę słów, ze swej strony ofiaruję swoje usługi jako etnograf i gotów jestem zawsze przystąpić do współpracy przy tak chwalebnym przedsięwzięciu

Mgr. Kazimierz Pietkiewicz.

Powieść z Kociewia

(„Hanka” Renaty Rutkowskiej, Pelplin 1938. Nakł. i druk. Drukarnia i Księgarnia Sp. z o. o. 8° s. 130).

Mimo że Kociewie posiada wśród regionów pomorskich własne charakterystyczne oblicze, nie wypowiedziało się ono dotąd w literaturze pięknej. Napróżno szukalibyśmy w przeszłości dzieła, obrazującego chociaż wycinek życia na Kociewiu! To też z dużym zainteresowaniem wzięliśmy do ręki pierwszą powieść, poświęconą wsi kociewskiej i napisaną, jak wnioskować można z dobrej znajomości tej wsi, przez rodzimą autorkę.

Jakież są wniki tej pierwszej próby powieści kociewskiej? Przypatrzmy się najpierw jej treści. Rzecz dzieje się we wsi Żołędziewo w pobliżu Kościelnej Jani i Osieka. Gospodarz Wojciech Zaremba ma nadobną córkę, Hankę, którą postanowił wydać za Frankę Borutę ze względu na jego okazałe gospodarstwo, które odziedziczyć ma po rodzicach. Ten zamiar starego Zaremby jest sprzeczny z wolą i uczuciem Hanki, która Franka nienawidzi, gdyż nie grzeszy on ani pięknnością ani dobrym charakterem. Woląaby wyjść za każdego innego, tylko nie za niego, zwłaszcza zaś chętnie związałaby się na całe życie z Pietrkiem Rzęczków, który darzy ją gorącym uczuciem. Lecz Zaremba, który widzi szczęście swych dzieci tylko w bogactwie, odrzuca myśl małżeństwa Hanki z Pietrkiem i silnie obstaje przy swoim zamiarze. Los, który czeka Hankę we wspólnym życiu ze zniechęconym człowiekiem, napełnia ją torturą duchową. Po śmierci starego Zaremby, Hanka, chcąc uszanować wolę ojca, wychodzi zamąż za Franka. Spełniają się jej przeczucia. Życie Hanki zamienia się w piekło duchowe i fizyczne, co powoduje rychły jej zgon.

Tragiczne dzieje wiejskiej dziewczyny kociewskiej autorka nakreśliła z dużym realizmem i wyraźną sympatią dla idealizowanej nieco bohaterki. Smutne jej życie, pozbawione radości osobistego szczęścia, walki wewnętrznej, miłość ojca i rodzeństwa, są prawie jedynym tematem opowieści, którą — przyznać trzeba — czyta się z niemałym zainteresowaniem. Poza życie Hanki i jej rodziny autorka jednak prawie w swym opowiadaniu nie wychodzi,

Szerszego obrazu wsi nie daje. Nie wydobywa też z niej cech najcharakterystyczniejszych. Samą akcję z łatwością można by przenieść w inną okolice Polski. Lokalnego zabarwienia nadają powieści jedynie dialogi przeprowadzone w gwarze kociewskiej. I tu trzeba stwierdzić, że autorka nie wydobyła z niej tych walorów językowych, które tkwią w dialekcie kociewskim, a o których ks. Bolt przy pewnej sposobności powiedział, że zawierają w sobie dużo właściwości pięknej rejowskiej staropolszczyzny. Również pisownia takich wyrażań jak: beńde, beńdzie, gembę ... nie odpowiada rzeczywistej wymowie.

Technika pisarska zdradza wprawdzie staranność, mimo to nie brak okazałej ilości błędów stylistycznych i nawet gramatycznych! Na przykład: „ten i ów byli gałganami“ (str. 5), „W r z e c z y w i s t o ś c i b y ł t o c h ł o p a k w g r u n c i e r z e c z y n i e z ł y“ (str. 5); „lubiała“ zamiast lubiła; „żryć“ zam. żreć; „dopilnowała je“ zam. — ich, „chłopaki szturchali je i szczypali“ zam. chłopaki szturchały...; „one udawały obrażone“ [!], „obwlokła się czarnym welonem smutku“ zam. — w czarny welon smutku (str. 12), „kłęka“ zam. kłękęła lub ukłękła (str. 25); „udawając“ zam. udając; „wyzuły się boso“ [!]; „hojała się“ [!]; „pozwoleństwo“ zam. pozwolenie itd....

Poza tym dużo błędów trzeba policzyć na karb niestarannej korekty. Wiele do życzenia pozostawia także przecinkowanie, przeprowadzone bez żadnej zasady.

„Hanka“, jak nam się wydaje, jest debiutem literackim p. Renaty Rutkowskiej. Wytknięte błędy i niedociągnięcia nie powinny zniechęcić autorki, która posiada duży zmysł obserwacyjny, umie skupić uwagę około jednego tematu i przeprowadzić go konsekwentnie i z umiarem epickim. Można oczekiwać, że następne utwory będą poprawniejsze oraz lepiej i szczerzej charakteryzujące region kociewski.

Mgr. Andrzej Bukowski.

Przysłowia używane na Kociewiu

Kto jakiej smaki, myśli, że każdy taki.
Lepiej w czas niż po czasie.
Ten o kozie, tamten o wozie.
Na to kował ma cęgi, żeby pazurów nie parzył.
Zab za zab, albo oko za oko.
Zjesz beczkę soli, nim poznasz do woli.
Tylko ptasiego mleka mu brak.
Jak nie ma chleba, to i noża nie trzeba.
Stary a głupi.
Gapa gapie ślepią nie wydrapie.
Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.